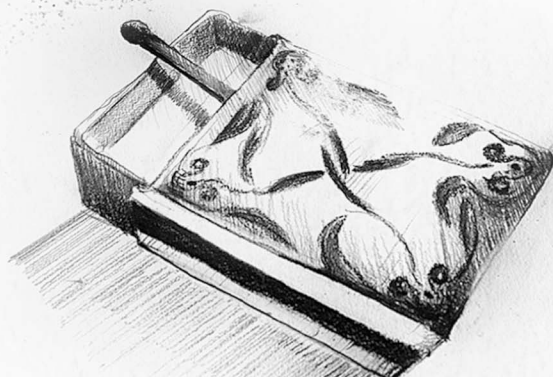


# ANDRZEJ SOSNOWSKI

POZYTYWKI I MARIENBADKI



Andrzej Sosnowski

Pozytywki i marienbadki  
(1987-2007)

Biuro Literackie • Wrocław 2009

## DOŻYNKI 9

RYSUNKI I PROJEKT OKŁADKI • Nina Łupińska  
OPRACOWANIE GRAFICZNE • Artur Burszta  
DRUK • Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź  
WYDANE PRZY WSPARCIU • Miasta Wrocław  
i Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu

Copyright © by Andrzej Sosnowski, 2009  
Copyright © by Biuro Literackie, 2009

BIURO LITERACKIE  
ul. Tęczowa 50a/9, 53-602 Wrocław  
tel. 0 71 346 08 23, 0 71 783 90 01  
poczta@biuroliterackie.pl  
www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-60602-85-0

# Posłowie

Niedługo można żyć z jednym słowem w ustach.  
Nawet na poligonie lub w trakcie bankietu  
kiedy wiatr przyniesie złomki głuchych rytmów  
sierżant i orkiestra zagłębią się w sobie  
nie pojawiwszy melodii w czymś, co niby echo  
wibracji strun – włókien świata – tak ich niepokoi.  
Tę muzykę z wnętrza ziemi czują też kobiety  
odarte z odzieży na śniegu lub w altanach  
gdy sekundę przed gwałtem omiatają myślą  
inicjał miłości na końcu lunety. Ludzie,  
o których mówię, odchodzą z pustymi rękami  
zwięźli niby supły na pięciolinii napięcia,  
odurzeni przez deszcz, co zniewala, by mówić  
zawsze chcieli żyć z jednym słowem na ustach.



## VIII

### Bardzo stary, bardzo krzepki dąb

rośnie pod tym oknem. Zapomniałeś o nim i wiosna zastaje cię przed telewizorem. „Spójrz”, szumi dąb, „śnieg już przepadł w baladzie Villona, a ja wibruję kolorami tęczy: spójrz na mój teatrzyk wiewiórek, kardynałów”. Przybierasz barwy ochronne. Przesuwasz się z pola na pole zgodnie z ruchem wskazówek zegara: czerń, biel, żółty, czerwony. Wydaje się, że wiosna panuje niepodzielnie: wczoraj z rzeki wynurzył się człowiek – w kolorowym kapoku, z kotwicą w ręku. A przecież powinien wziąć się w garść, powinien obserwować maszyny, których lenistwo przekracza ludzkie pojęcie. Powinien tkwić na marginesie.

Czy masz jeszcze ten niewiarygodny spust? Mógłbym schrupać Joannę i jej konia z kopytami. Ale ci, którzy mogą, nie chcą, albo nie wiedzą jak.

Bo wszystko dzieje się za szybko. Zaroilo się od rudzików na murawie i dziewczęta wyszły na dwór w lekkich kardynałkach. I tęskni się do subtelnych modulacji przedwiośnia, niewielkich amplitud, delikatnych orkiestracji zapachów, wykwintnej gry miłosnej przed ekstazą lata. Sierp dusznego wiatru, młot upału, zdradziecka czerwień tętniąca przed oczami: to nie dla nas. I już zaczęło się potworne wysychanie wód, rzeka chudnie i niknie w oczach: jutro czarni rozbiją się o skały i zimorodek będzie uciekał jak Harold Lloyd przed tramwajem.

# Sezon na Helu

*Banquo: It will be rain tonight.*

*1<sup>st</sup> Murderer: Let it come down.*

Spóźnieni wchodzimy w lato, nasze zegarki  
zostawmy na plaży. Czas też  
miewa przygody, na przykład za chwilę  
twój słoneczny sygnet zniknie w mokrym piasku  
zachodząc w ulewie stóp tej smagłej gromadki.  
I wilgoć będzie mogła śnić swój sen o muzeum  
snując się wzdłuż sprężyn i kamieni  
i parując pod złotą kopertą  
aż po kres morza i czasu.

Co noc z moją panią wypijam pół litra.  
Ubrani tak samo na randkę, chandrę i do pracy  
niekiedy istotnie zdarzamy się czasowi,  
fosforyzujące punkty na krótkiej wskazówce  
półwyspu nad tarczą morza. I tak bardzo  
jej potrzeba przestrzeni do życia lecz my  
mamy serca w plecaku i tylko sprzątamy  
las starych umocnień, faszynowe płotki  
zasypiając czas lekką stopą  
zasypany w piasku.

Tak niweluje się wydmy w służbie czasu.  
Przydarzasz się słońcu, kiedy indziej chmurom  
ale nader rzadko, więc nosisz się zagadkowo  
wkręcając czas butem w piach jak niedopałek.  
A czasem znów z morską latarnią przy ustach  
odwracamy światło i nadajemy się rano

w kopertach bez adresu. I pada deszcz.  
Nieruchome grzywacze piętrzą się nad nami.  
O spotkaniu naszych oczu będą milczeć media  
choć zapadły na nim decyzje wyjątkowej wagi.

# Tachymetria

E.

Kiedys te domy przejdzie wiatr  
szyby nabiegna tęczą jak wodospad  
obudzimy się w zimnych pokojach  
zdjęcia sfruną ze ścian i rzecz  
nie przyzna się do rzeczy i głos  
załamie się gdy cyfry na tarczach  
zamienią się miejscami  
teraz tak jest że mamy wiatr  
niech już zostanie na zawsze

I na czworakach poszukamy starych  
listów i jak pajęczyna będzie czas  
na mojej twarzy jak zetlałe płótno  
farba na twoich palcach Uważaj  
nie skalecz się Pleśń jest dobra  
siwy chleb pajęczyna i słońce  
A słońce wejdzie po schodach  
i wyskoczy przez wybite okna  
teraz tak jest że mamy blask  
niech już zostanie na zawsze

A życie będzie nocą na horyzoncie  
łuną otoczoną pierścieniem neonów  
i autostrad Saturn Dziecko bez tchu  
przybiegnie nad krawężnik W oczach  
błyśnie aureola z aut więc wróci  
żeby nam śpiewać nowinę lecz my  
będziemy przetrząsać pola i pleść



szare ogniska z folii  
teraz tak jest że mamy mróz  
niech już zostanie na zawsze

Czujesz ten błysk w węźle gardła?  
To czułość Już nic nie pamiętam  
Słońce leci z zachodu na wschód  
stawia nam włosy na głowie i robi się  
tak ciepło wyciągnij dłonie  
W te domy w końcu włożą dynamity  
i obłok będzie jak wzruszenie ramion  
popielaty upadek jak ukłon  
teraz tak jest że mamy strach  
niech już zostanie na zawsze

# Thrakt

Człowiek, który sobie poszedł  
to nie jest człowiek, który do nas idzie. Dzień  
zachodzi nad nim bez przesadnej glorii, dzień  
innego człowieka, którego jeszcze nie ma. Sen  
posyła mu snop cieni przez dziurkę od klucza,  
ale nośny podmuch  
zamarł na przedprożu. Weranda  
pachnie jabłkiem, herbatą, biszkoptami,  
martwym morzem jesiennego słońca, bo  
ten, który poszedł, był tu tylko latem, ten  
który jest w drodze, nie zdąży przed zimą.  
Jednak zgrzyt klucza idzie w miesiące, jest  
jak korytarz dla snu. Jak pomysł na drogę  
inną, który zjawi się w półszepcie wiosny, gdy  
dawny wiatr przybędzie tu znad rzeki. Wtedy  
przepadnie klucz w trakcie nocnej przeprawy.  
Każdy czas będzie pospiesznie rozkojarzony.

Taki jednolity w złocie jesieni, taki stromy  
jak seledynowa fala, której przyszło się zatrzymać  
z nawisem nad tym domkiem obok lasu. Ale nieobecni  
ronią łzy przy pracy, w mieście, pomiędzy kawiarniami,  
gdzie płynie dobre życie. Czas  
na *ballades et rondeaux*.

Na – o ile łaska papieża – heterodoksje  
nad filiżankami z kawą, przy likierach: – że tak  
bezsprzecznie powinno być! Dopóki  
miasto, zła infrastruktura, miota nimi jak młyn,  
ludzie giną w przedbiegach bez halo *symposion*  
w czasie sfingowanym. Czyżby zatarł się kres?  
Anulowany w klubach i neonach? Jazzu

bezapelacyjnie coraz mniej. Hale tańca to kamieniołomy.  
Z kolosalną żądzą zysku w pobliżu ścieżki zdrowia  
kombinuje człowiek. Już dawno galerami  
wypuścił się czas, znajdując porty w galaktykach  
gwiazd, które jedyne potrafią się nim cieszyć. A  
taki obraz na takie podobieństwo tak nie umie.

Czy istnieje substytut *en masse*? Nic z tych rzeczy.  
Wszystkie klejnoty świata nie zamkną boskiej Astrei  
w zegarkach. Piękne są jedynie zakątki w sekundach  
głębszej ciszy w popołudniowej muzyce. Nadchodzący  
marzy jednak o łóżku w dziurce od klucza, o smukłej  
konnacie najwszechstronniej będącej w kontakcie  
z okiem i krótką łzą czasu. I ja też tak chcę. Sen  
oddycha wtedy nurtem rzeki i wiatrem  
swobodnego ruchu tego, co w boskim sensie prawdziwe.  
Ale jesteśmy, co zrozumiałe, wychyleni  
z fazy, i wszystko dzieje się jakby za naszymi plecami,  
nawet rzeczy fatalne, więc nie ma potrzeby udawać,  
że potrafimy coś ująć. I w sumie  
o nic więcej nie chodzi.

Biała werando pod lasem, salo telewizyjna w głębi,  
gdzie tyle razy cieszyliśmy się miłym wieczorem,  
uzgadniając, że przed snem rundka i rytualny papieros.  
Ani słowa o łzach, jednak czułem czas na nadgarstkach  
jak dziewczęce włosy i piasek. Jak z wysokiej zjeżdżalni  
wpada się w noc pełną czasu i nie ogląda na basen, bo  
mogłoby tam być nawet srebrne trzęsawisko żyłek,  
morskich weteranek. Stąd dzisiaj  
potrzeba syrenich reasekuracji  
jeszcze w takim straszliwą ciszą prześwieconym wraku.  
Ciężko późno być dobrym kometą. Ot, co. Późna myśl  
nie trzyma się żywiołu, który tak niedotykalnie płonie  
w drżącym hinterlandzie gwiazd. Boskie urągawisko,  
swoją drogą, ten eksperyment z pamięcią, i tawestacja.  
Czyli z takim czasem, którego nigdy nie było i nie masz,

bo tylko szczęście to czas, kiedy ogarnia cię czas  
jednokrotnie i może porwać bądź rzucić.  
I każda młoda osoba błyskawicznie daje się rzucić,  
żeby po prostu móc żyć, ale już tylko bez szczęścia,  
bez czasu, w klimatach stacjonarnie nijakich. Poza  
szczęściem w najlepszym razie zajmuje nas sztuka.

Tak odprowadzając świat, słuchając *sitcomowego* płaczu i  
przeglądając się w tyłu zaprzepaszczonej mostach; grzęznąć  
w zdeprymowanych godzinach i będąc, z każdą chwilą, dalej  
od czegoś, co w ogóle może być chwilą – oto boski paradoks  
i hat trick. Odprowadzając świat  
na pociąg? Od samego początku  
z narastającą talią: chusteczek i pocałunków? Na dworzec  
jak zwykle o świcie. Kto  
komu mówi: niemal się zakochałem? *Jehanne de France*?

I tak jak szczęśliwość jest najdotkliwiej nieboskim stanem  
*imaginable*, w którym Bóg wypunktował swoje antidotum,  
tak ironia trafnie instanzuje serce jako wielką tajemnicę  
niewiary, czyli głód nieskończonego szczęścia możliwego  
jedynie w czasie, i to w czasie najtkliwiej śpiewającym.  
Alleluja. Już zapowiadali przez megafon? Rzadko dziś  
młodzież pochyla się nad różą; nie pragnie superlogo istnienia.  
Lejek norymberski i butelka lejdejska są dla nich bez różnicy,  
a właśnie takie rzeczy objaśniałem najwytrwalej.  
Opóźniony pociąg ekspresowy *X is falling down*, et cetera.  
Leżysz na peronie, który wisi jak weranda w pustym polu.

## Wiersz (*Trackless*)

Wiersz traci pamięć za rogiem ulicy  
W czarnym powietrzu brzmią wołania straży  
Szukałem siostry i nie mogłem znaleźć  
Nie miałem siostry więc nie mogłem szukać

Nie miałem siostry jak sięgnąć pamięcią  
Wstecz wzdłuż ulicy której dawno nie ma  
W naszej okolicy zgubi się w podwórkach  
Nie zna białego ranka Pije w suterenach

Marzy godzinami przy murku śmietnika  
Moje ciemne powieki ciężkie są od wina  
Wiersz wychodzi z domu i nigdy nie wraca  
Wiersz nie pamięta domu którego nie było

Dla tej ciemnej miłości dzikiego gatunku  
Wstecz wzdłuż ulicy której dawno nie ma  
Idzie bez pamięci i znika bez śladu  
Nie ma wiersza pamięci siostry ani domu

# Tempo życia

Co? Nic. Patrzę. Zasypiam.  
Okno, łóżko i mrok. Chłodny  
dreszcz to minimum sensacji  
pod kocem, z głową schowaną  
w sny. Sny mają być jak piasek  
i są. W ustach. Na ustach piach,  
klej, pajęczyna i śmiech,  
klej, pajęczyna i piach. K, p, p,  
*pppppppppppppppppppppppppppppp!*  
*A fatal error has occurred.* Pisz  
po polsku. Nic. Straszliwy błąd  
miał tu miejsce. Zdarzył się i  
wystąpił. Z brzegów? Z pro-  
pozycją. Z bezbrzeżną post-  
pozycją.

★

Mihi i Tibi w jednym stały domu. Studiowały gry *noirs* na nocnych wydziałach, „naliczały” szare krwinki dni: jaki stan? Martwią te analizy, lecz one nie są już aktualne, mówi Tibi, a Mihi mruczy: W sondażach dominują blade krwinki.

Jon przepadł równie beznadziejnie jak ostatec! Muzykografia musi zrezygnować z astrofizyki, żeby się stać obrączką – chociażby tragiczną! – prawdziwego żyrandola. Zaczyna natomiast uosabiać nabożeństwo, że żyrandola nie ma!

*I pewnie spytasz mnie jak masz myśleć  
i naturalnie spytasz mnie co masz zrobić  
a gdybyś miała mnie zapytać co to będzie  
to może też zapytasz co ma być*

Jeżeli zapytasz mnie jak masz skończyć  
możesz chcieć zadać pytanie jak to jest  
gdy następnie mnie zapytasz jak to jest  
ja ci po prostu nie odpowiem

**Książka dostępna w księgarni**







ISBN 978-83-60602-85-0



9 788360 602850 >

CENA 59 ZŁ